Zaginiony skarb

Historia ta wydarzyła się w miasteczku na Podkarpaciu przeszło dziesięć lat temu. Zaczęła się od pewnego wydarzenia, swego rodzaju ważnego, wybrano nowego burmistrza w gminie. Pan Adam Konik pełnił teraz tę funkcję. Mimo młodego wieku zdobył głosy wielu ludzi, niewątpliwie przyczyniła się do tego dobra kampania wyborcza i medialne zaangażowanie kandydata. Nie wszystkim to się jednak podobało, by nie powiedzieć, że niektórych awans skromnego bibliotekarza kłuł w oczy.

Kariera tego trzydziestotrzylatka zapowiadała się ciekawie, a on sam podszedł do nowych obowiązków solidnie i energicznie. W pierwszym miesiącu urzędowania odwiedzał wybranych mieszkańców. Jedną z osób, której złożył wizytę, była stuletnia babcia. Akurat nadarzyła się ku temu okazja, gdyż przy tak ważnej rocznicy, pracownicy gminy składali jubilatce życzenia. Burmistrz Konik z wielkim bukietem różowych tulipanów udał się do starowinki. Przywitała go niewysoka, lekko przygarbiona kobieta o siwych upiętych w mały koczek włosach. Jej niebieskie oczy promieniały. Była ubrana w długą, kolorową sukienkę, a na jej szyi błyszczał złoty wisiorek.

Jubilatkę wzruszyły miłe słowa, a w oczach młodego człowieka dostrzegła szczerą życzliwość. Konik z ciekowością rozglądał się po skromnym mieszkaniu. Jego uwagę przykuł mały, pozłacany słowik. Stał na kredensie w pozycji siedzącej z główką zwróconą w kierunku stołu, sprawiał wrażenie żywego. Burmistrz zdziwił się, że w takim dniu nie ma przy pani Antoninie żadnych krewnych. Staruszka nic nie odpowiedziała, może zresztą nie dosłyszała pytania. Na pożegnanie podziękowała za życzenia i poprosiła Adama, aby ją jeszcze kiedyś odwiedził.

Nie wiedzieć czemu burmistrz nie mógł się doczekać kolejnego spotkania. W niedzielne popołudnie kupił w cukierni ciasto z kremem waniliowym i owocami i udał się z wizytą do babci. Drzwi nie były zamknięte, więc od razu wszedł do środka.

- Dzień dobry pani Antosiu! – zawołał od progu. – Powinna pani zamykać drzwi.

- Ależ, po co? – zdziwiła się. – Przecież nie ma co tu ukraść, a już jestem za stara, żeby bać się o swoje życie.

- To nieostrożne z pani... - nie dokończył, bo kobieta przytknęła palec do ust, nakazując milczenie.

Pan Konik postanowił zmienić temat i powiedział, że przyniósł ciasto. Babcia, mimo swojego podeszłego wieku, poruszała się dość żwawo. Podeszła do kuchenki i nastawiła wodę na herbatę. Siadając przy stole, delikatnie pogładziła płatki tulipanów.

- Takie same dostałam kiedyś od mojego narzeczonego. Dawno temu... Jeszcze przed wojną – szepnęła cicho. – Upiekłam wtedy placek, taki z truskawkami. Nie wyglądał tak pięknie jak pana, ale był naprawdę smaczny.

Staruszka spojrzała na wyraźnie zaciekawionego opowieścią burmistrza i kontynuowała dalej:

- Mieszkałam z rodzicami i starszym bratem Władkiem w tej kamienicy. Przed wybuchem wojny mój ojciec, brat i narzeczony Tadek dostali powołanie do wojska. Długo z matką ukrywałyśmy się w piwnicach, każdego dnia wyczekiwałyśmy ich powrotu. Na początku grudnia wrócił tylko Władzio. Był ranny w nogę, ale nie skarżył się. Szybko zabrał się za prowadzenie sklepu. Założył go jeszcze nasz dziadek. Nikogo nie dziwiło, że brat często znikał... Pewnego dnia zeszłam do piwnicy po węgiel i zdębiałam. Pod ścianą siedział Tadzio. Wydawał się wychudzony i blady. Szybko okazało się, że jest chory. Wkrótce zmarła mama. Narzeczonym opiekowałam się wiele tygodni, majaczył w gorączce, od czasu do czasu odzyskując przytomność. Zazwyczaj siedział w ukryciu, lecz tego dnia czul się lepiej i czekał na mnie w pokoju. Niespodziewanie do sklepu weszli Niemcy. Szukali partyzanta... mojego brata. Znaleźli też Tadka. Obu rozstrzelali na terenie getta. Ja uratowałam się tylko dlatego, że nie zdążyłam wrócić do domu.

Mężczyzna słuchał w skupieniu. Dostrzegł grymas bólu na pomarszczonej twarzy staruszki i jej wzrok utkwiony w jednym punkcie. Domyślił się, dlaczego pani Antonina wybrała samotne życie. Staruszka milczała dłuższy czas, na koniec postanowiła zdradzić mu sekret. Czuła, że jej dni są policzone, a nie chciała zabrać go do grobu. Młody mężczyzna wydał się jej godzien zaufania. Wraz z narzeczonym marzyli o wspólnym życiu. Tadeusz ukrył kosztowności w rodzinnym domu, największej kamienicy przy rynku, a właściwie w jej podziemiach. Nigdy ich nie szukała, ale o nich nie zapomniała.

Burmistrza zainteresowała ta informacja, postanowił sprawdzić, czy jest prawdziwa, a przede wszystkim chciał odnaleźć skarb. Kamienica należała do miasta, więc wiedział, że będzie miał ułatwione zadanie. Zapalił się do tego pomysłu tym bardziej, że przypomniał sobie, jak na początku swojej pracy w bibliotece czytał w jakiś archiwalnych dokumentach o kosztownościach ukrywanych przez mieszkańców, którzy zakopywali dorobek życia. Wierzyli, że po wojnie, będą mogli dzięki niemu zacząć nowe życie.

Pan Adam miał chęć nagłośnić sprawę, lecz zdał sobie sprawę z tego, że we wskazanym miejscu otwarto nowy bank, który dzierżawił kamienicę. Dyrektorem banku był pan Smolik. Nie zważając na sytuację i tak burmistrz podgrzał sprawę. Wystarczyło, by wypytał kilka starszych osób, a już plotki zaczęły krążyć. Temat podchwyciły lokalne media, które wspomniały w kolejnym numerze gazety o ukrytym skarbie. Co na to pani Antonina? Nie wiadomo. A inni? Jedni wierzyli, inni uważali newsa za wierutną bzdurę. „Po wojnie domy odbudowywano, przebudowywano... Gdyby był skarb, dawno by go ktoś znalazł" – mówiono.

Wieści te dotarły też do bankowego stróża, Lucjana Liska. Ten stwierdziwszy, iż przez bank jest jedyne wejście do podziemi, postanowił na własną rękę przeszukać piwnicę. Wybrał weekend, kiedy placówka była zamknięta, a pracownicy niczego nie mogli się domyślać. Nie chciał robić sensacji, ale też

z nikim się dzielić. Na penetrację piwnic zabrał łopatę i latarkę. Otworzył z trudem ciężkie, metalowe drzwi prowadzące do podziemi, wszedł do ciemnego i wilgotnego miejsca pełnego pająków i starych gratów.

Pierwszego dnia przeciskał się przez ciasne korytarze. Zauważył, że prowadzą one poza obszar domu i muszą się łączyć z piwnicami innych kamienic, a może nawet wiją się pod rynkiem. Nie był tutejszy, dlatego nie znał dziejów miasta, ale dobrze wiedział, że tak budowano grody w późnym średniowieczu. Marzył o zdobyciu planów miasta, toby znacznie ułatwiło poszukiwania. Teraz musiał zadowolić się przerzucaniem gruzu i niepotrzebnych rupieci. Drugiego dnia zauważył, że mur w jednym z korytarzy jest jakby nowszy. Cegła była bardziej czerwona i wyraźnie różniła się od pozostałej. Wybił fragment ściany, za którym znajdowała się niewielka skrytka. Pusta. Rozkopywał ziemię, ale oprócz paru kamieni i podartego buta niczego tam nie znalazł. Zdenerwowany miał się już poddać, lecz za bardzo zależało mu na skarbie, postanowił więc poświęcić kolejne noce na przetrząsanie tajemniczego miejsca.

Lisek był bardzo ostrożny, ale jego poszukiwania nie uszły uwadze pewnego przechodnia. Każdego wieczoru wychodził z psem na spacer i obserwował sączące się od kilku dni przez małe, piwniczne okienko światło latarenki. Tymczasem stróż był coraz bardziej zmęczony i coraz bardziej zniechęcony bezowocnymi poszukiwaniami. Poprosił dyrektora o kilka dni urlopu, nikogo więc nie zdziwiła jego nieobecność w pracy.

W tym czasie burmistrz Konik uzyskał potrzebne pozwolenia na przeszukanie piwnic kamienicy banku. Zebrał grupę miłośników historii miasteczka, których zafascynowała tajemnica ukrytego skarbu. Wieczorem wraz z dyrektorem Smolikiem zeszli do piwnic. Ze zdziwieniem odkryli uchylone drzwi.

- Jest tu kto? – zawołał dyrektor. Nikt nie odpowiedział. Zapalili więc latarnie i po kolei wchodzili do ciasnego korytarza.

- Ale bałagan! – zauważył pan Adam, rozglądając się dookoła. – Myślałem, że nikt tu nie wchodził od lat, ale najwyraźniej się myliłem. Widać świeże ślady przekopywania ziemi.

- Chyba ktoś na poważnie wziął plotki o skarbie i już zabrał się do roboty – zaśmiał się pan Romek. Był zawsze tam, gdzie coś się działo. Od lat amatorsko pracował w redakcji lokalnej gazety „Kurier rymanowski", więc i tu nie mogło go zabraknąć.

Nagle burmistrz potknął się. To tylko stary but. Gdy go kopnął, zza przewróconych skrzynek zebrani zobaczyli wystającą stopę. Czym prędzej odrzucali graty. W świetle latarek dostrzegli siną twarz stróża Lucjana Liska...

Kilka dni później aresztowano dyrektora Smolika. Podejrzewano go o zamordowanie pracownika, choć pan Konik nie mógł w to uwierzyć. Nie darzył bankiera sympatią i wiedział, że ten nie życzył mu

dobrze, gdy przegrał wybory na stanowiska burmistrza. Znał go na tyle, by wiedzieć, że nie jest mordercą. Policja miała podobno dowody czy poszlaki, ale niczego konkretnego nie było wiadomo. Adam postanowił zadzwonić do komisarza, który był jego szkolnym kolegą i dowiedzieć się czegoś. Podobno na łopacie znaleziono odciski dyrektora, a on sam przyznał się, że odkrył dodatkowe nocne zajęcie stróża i nawet zaproponował mu podział skarbu, ale zdecydowanie zaprzeczył, by miał coś wspólnego z jego śmiercią. Nie wiedzieć dlaczego, Konik wierzył, że tak było. „Ale kto zabił?" – zastanawiał się. „I czy znalazł skarb?".

Po nieprzespanej nocy burmistrz wrócił do swoich obowiązków. Praca jednak mu nie szła, bo myślał bez przerwy o ostatnich wydarzeniach. Zadzwonił do biblioteki z prośbą o dostarczenie mu dzienników z czasów wojny, które kiedyś czytał. Może w nich jest jakiś szczegół, który wcześniej wydał mu się nieistotny. Wracając do domu, udał się jeszcze do mieszkanka babci Antoniny. Miał do niej kilka pytań. Tym razem nie zdziwił się, że drzwi były otworzone. Wszedł do środka. Przywitała go cisza. Na stoliku obok dwóch szklanek z niedopitą herbatą leżało kilka zdjęć z jubileuszowej uroczystości. Staruszka przykryta grubym wełnianym kocem lekko pochrapywała na fotelu przy oknie. Spojrzał na jej spokojną twarz i nie miał sumienia jej budzić. Rzucił jeszcze okiem na kredens. Brakowało ptasiej pozytywki. Cicho wyszedł.

Nazajutrz poprosił sekretarkę o przyniesienie ostatnich numerów „Kuriera". Wszystkie przeglądnął o wiele dokładniej niż zwykle. Nagle uśmiechnął się zadowolony, czuł, że jest bliski rozwiązania zagadki.

Pan Adam nie miał wątpliwości, że morderca i złodziej to ta sama osoba. Nawet domyślił się, kim jest. Brakowało mu tylko decydującego dowodu. Postanowił wziąć sprawy w swoje ręce. Nocą przechadzał się koło banku. Piątego dnia przez małe okienko błyskało nikłe światełko, ktoś nadal był w piwnicy. Zbliżył się, lecz warknięcie psa zmusiło go do odwrotu. O świcie udał się na miejsce zbrodni. Piwnice były zabezpieczone, ale i tak postanowił przeszukać dokładnie każdy kąt. Gdzieniegdzie widać było ciemne i rude kłębki psiej sierści. Na razie Konik dowody zachował dla siebie. Teraz musiał tylko sprawdzić, czy dyrektor ma pupila. Nie było to trudne zadanie, burmistrz zadzwonił do swojego kolegi komisarza i poprosił o krótkie widzenie z podejrzanym. Policjant pozwolił mu na dziesięciominutowe spotkanie. Podczas tej wizyty dowiedział się, że pan Smolik nie ma zwierzątka, a po za tym nie przepada za psami. W tym momencie można było całkowicie wykluczyć bankiera lub jego wspólnika.

Aby upewnić się co do swych podejrzeń, wybrał się do najlepiej poinformowanego człowieka w miasteczku redaktora Romka. Okazało się, że jest on miłośnikiem psów i właśnie wybiera się do weterynarza ze swoim border-colli. Konik szedł też w tym kierunku, postanowił więc zasięgnąć opinii znajomego.

- Spaceruje pan tędy codziennie, nic nie zwróciło pańskiej uwagi? – zapytał.

- Tak, często w piwnicy świeciło się światełko - odpowiedział redaktor.

- I czy nigdy nie korciło pana, aby pójść sprawdzić, co tam może być?

- W zasadzie to trochę tak, ale... - zaśmiał się pan Romek – co ja bym tam sam jeden zawojował.

I dodał:

- Pan wybaczy, ale już pójdę. Trochę śpieszę... Po południu jadę do Krosna, mam napisać sprawozdanie z rozgrywek żużlowych.

Burmistrz Konik, teraz też detektyw-amator Konik musiał się spieszyć. Zadzwonił do komisarza i powiedział mu o swoich podejrzeniach. Przy czerwonym fiacie zaparkował niebawem policyjny radiowóz.

- Wyjeżdża pan? – zapytał komisarz.

- Służbowo.

- Dużo bagażu jak na krótki wyjazd – zauważył policjant, przyglądając się krępemu mężczyźnie, który właśnie pakował trzy walizki do bagażnika. - Obawiam się, że musi pan zmienić plany.

- Nie może mnie pan zatrzymać. Nic na mnie nie macie.

- Ależ może, panie redaktorze! – powiedział spokojnie Adam. – W pana walizce są skradzione rzeczy.

- Brednie! Wszystko należy do mnie!

- Skoro nie ma pan nic do ukrycia... - komisarz nie zdążył dokończyć zdania, bo podejrzany mężczyzna wskoczył do samochodu i odjechał z piskiem opon, zostawiając na chodniku swojego psa. Piękny bolder-colli o biało-rudym umaszczeniu zawył głośno.

Po krótkim pościgu policji udało się zatrzymać pana Romana. Rzeczywiście w jego torbie znajdowała się spora suma pieniędzy i kilka cennych przedmiotów.

Na następny dzień komisarz chciał wyjaśnić niektóre sprawy z burmistrzem.

- Skąd wiedziałeś, że redaktor ma kradzioną gotówkę?

- Nie wiedziałem – uśmiechnął się tajemniczo – blefowałem.

- Miałeś rację! Te pieniądze były ze zbiórki na krośnieńskie Hospicjum, które wolontariusze przechowywali w redakcyjnym sejfie. Roman po prostu je przywłaszczył sobie.

- Myślę, że chodzi o coś więcej – zastanawiał się głośno Konik. – Jestem pewny, że redaktorek zabił stróża Liska. Kiedy odwiedziłem po raz drugi babcię Antoninę, zauważyłem, że przede mną miała innego gościa. Na stole leżały zdjęcia, takie same jak te, które zamieszczono w gazecie przy artykule o jej

jubileuszu. Pewnie gdy je robił opowiedziała mu, podobnie jak mnie, historię o skarbie. Musiał zacząć szukać go zanim rozeszły się wieści o ukrytych kosztownościach.

- A jak miałby dostać się do piwnic banku?

- Czy w jego rzeczach była złocona pozytywka w kształcie ptaka? – zapytał niespodziewanie Adam.

- No tak, ale co z tego?

- Przypatrzmy się jej bliżej!

Z pozytywki zdjęto odciski palców, a mężczyźni obejrzeli ją dokładnie. Nikt nie miał wątpliwości, że należała do staruszki. Po skrzydłem odczytali wygrawerowany napis: „Tosi, mojej miłości – Tadzio". Adam nakręcił pozytywkę, a ptaszek poruszył dziobkiem w rytm melodii. Wtedy to kluczyk do nakręcania wydał mu się zbyt duży do tak małego przedmiotu. Wyjął go ostrożnie i krótko rzucił:

- Musimy iść do pani Antoniny!

Na miejscu poinformowali staruszkę o odnalezieniu zguby i jej zwrocie, gdy tylko zakończy się śledztwo. Pan Konik poprosił, by pokazała im wejście do skrytki, w której ukrywał się jej narzeczony.

- To tu za tą makatką– wskazała na ścianę, na którą patrzyła każdego dnia z tym samym smutkiem w oczach. – Ale nie wiem, gdzie jest klucz...

- Ja chyba wiem – rzekł burmistrz i wyjął kluczyk od pozytywki, który idealnie pasował do kłódki przy ukrytych za makatą drzwiach. Po krętych schodkach zeszli do piwnic. Korytarz łączył się z kolejnym i jeszcze jednym. W końcu doszli do piwnic pod bankiem.

- Tędy schodził, by szukać skarbu – powiedział komisarz. – Musiał zdenerwować się, że ktoś chce go ubiec i postanowił pozbyć się rywala.

- Jak do tego doszło, musisz wyjaśnić ty – mruknął Konik – ja wracam do swoich obowiązków. Przez tą sprawę mam zaległości w pracy.

- No nie mów, że nie podobało ci zajęcie detektywa – roześmiał się komisarz i poklepał przyjaciela po ramieniu.

- Zastanowię się nad tym, gdy przestanę być burmistrzem.

Po wyjaśnieniu sprawy zwolniono z aresztu dyrektora Smolika. A zagadka skarbu? Postanowiono nie wracać do niej. Najnowsze plotki głoszą, że ciąży nad nim klątwa. Ale, kto wie, może znajdzie się śmiałek, który znowu ruszy na poszukiwania...

Autor: Maja Wawrzkowicz